

Ja robot, ja wykształciuch. Dywagacji ciąg dalszy...

29 grudnia 2015

Grzegorz Majewski zaproponował mi napisanie tekstu, który miałby być jakimś nawiązaniem do jego tekstu [„Ja robot – ja wykształciuch”](#). Propozycja Grzegorza to konsekwencja naszego wspólnego doświadczenia – „od robota do wykształciucha”. Obiecałem Grzegorzowi, że tekst napiszę a skoro się rzekło słowo, to należy słowa dotrzymać. Tekst jest w jakiejś mierze nawiązaniem do wątków poruszonych przez Grzegorza i należałoby go czytać „w pakiecie”.

Podobnie jak Grzegorz pracowałem fizycznie (od 1985 r. na stanowisku elektryka w KWB „Bełchatów” a następnie w Ciepłowni Miejskiej w Bełchatowie odbywając zastępczą służbę wojskową). Moim naturalnym środowiskiem byli robotnicy – bardziej podzieleni niż niejedna rodzina. Czynnikiem podziału było kilka a zrozumienie każdego z nich wymagałoby sięgnięcia do narzędzi analizy socjologiczno-ekonomicznej. Bełchatów, gdzie mieszkałem od 1978 r., to jedna z ostatnich sztandarowych inwestycji dekady Gierka. Było dość bogato, jak na ówczesne standardy, a magnesem przyciągającym ludzi do pracy były mieszkania, które można było dostać po roku pracy, i znacząca podwyżka uposażeń. Mój ojciec wyemigrował ze Zgorzelca, a pracował w KWB „Turów” od wczesnych lat 1960., właśnie ze względu na brak perspektyw mieszkaniowych. Do Bełchatowa zjechali młodzi i starzy inżynierowie, technicy i robotnicy z całej Polski w poszukiwaniu lepszego życia. Sztandarowe inwestycje socjalizmu, mówiąc językiem Marksa, tworzyły robotniczą arystokrację, której wiodło się lepiej niż innym ale nie na tyle dobrze aby nie protestować. A. de Tocqueville mówił o rewolucjach, które wybuchają nie wówczas, kiedy dzieje się źle, ale wówczas, kiedy aspiracje rosną szybciej niż możliwości ich zaspokojenia. Obserwowałem to z bliska mając wśród kolegów głównie robotników ze średnim wykształceniem,

którzy narzekając na brak perspektyw stanowili trzon bełchatowskiej opozycji.

Zaangażowanych w działalność opozycyjną „wyształciuchów” z moich „robolskich” czasów znałem trzech (w tym jeden zaprzestał działalności jeszcze w latach 1980.). „Wyształciuchy” nie angażowali się zbyt ochoczo w działalność opozycyjną bo mieli całkiem sporo do stracenia a to dlatego, że i całkiem sporo od władzy otrzymywali. Kiedy trafiłem do pracy w KWB „Bełchatów” we wrześniu 1985 r. to zostałem poproszony na rozmowę do kierownika oddziału, który mi zakomunikował, że „on coś o mnie wie i nie chce żadnym problemów”. Rozmowa była standardowa a zabawnie było później, gdyż co miesiąc otrzymywałem nieco niższe wynagrodzenie niż moi koledzy (i tak wysokie, jak na warunki PRL i pierwszą pracę – około 14 tys. zł. pod koniec 1985 r.) a to dlatego, że miałem niższą premię. Moim sztygarem był „swój chłop”, jak mi powiedział kolega – jeden z liderów podziemnej Solidarności zatrudniony na tym samym oddziale. Po kilku miesiącach pytam owego „swojego chłopca” dlaczego moja premia jest niższa a on mi na to, że ciągle w pracy śpię i czytam książki. Jedno i drugie było prawdą więc nie zaprzeczałem ale w tym samym czasie inni albo grali w karty w tzw. „chuja”, albo czytali „Przegląd Sportowy” o czym sztygar wiedział, więc pytam jaka to różnica, a on na to: „graj Pan w „chuja” albo czytaj „Przegląd Sportowy” i nikt nie będzie zwracał na Pana uwagi!”. Po latach o sztygarze dowiedziałem się, że to chyba był „swój chłop”.

W lutym 1986 r. trafiłem do Ciepłowni Miejskiej w Bełchatowie, gdzie wysłano mnie do odbywania zastępczej służby wojskowej. Robotnicy Ciepłowni Miejskiej byli kompletnie innym sortem ludzi, by posłużyć się współczesną choć w innym sensie użytą frazą. Zdegradowani ekonomicznie, bez specjalnych nadziei na lepszą przyszłość, przypominający raczej robotników folwarcznych spoglądających na kominy Elektrowni „Bełchatów” i koparki KWB „Bełchatów” niczym w opowiadaniu Jalu Kurka

mieszkańcy wsi zazdrośnie spozierający na widoki miejskiego, lepszego życia.

To były kompletnie dwa różne światy. Ten pierwszy, lepszy i bardziej wewnętrznie zróżnicowany składał się z ludzi, którzy korzystali z możliwości jakie stwarzało duże przedsiębiorstwo KWB „Bełchatów” (zagraniczne wczasy w Demoludach, kolonie dla dzieci, talony na samochody, na których można było zarobić sporo kasy etc.) oraz tych, którzy raczej nie mieli szans na jakiegokolwiek beneficja. W świecie Ciepłowni Miejskiej beneficjów nie było żadnych a stan pryszniców był taki, że wolałem brać kąpiel po pracy w domu. Ten pierwszy świat był namiastką zmiany, ten drugi stagnacji. W tym pierwszym świecie szmuglowało się bibułę – w tym „Kulturę” Giedroycia, wiersze Zagajewskiego i Herberta, powieści Konwickiego i Nowakowskiego etc. a także i „Dezertera” choć lokalni opozycjoniści specjalnie nie kumali o co z tym WiPem chodzi poza tym, że dzielna młodzież nie chciała iść do komunistycznego wojska i zasilala szeregi więźniów politycznych, a takim należał się szacun. Przed każdym wyjazdem do Warszawy pytałem kolegę opozycjonistę ile jest zwrotów książek z poprzedniej dystrybucji a on dumnie odpowiadał, że żadnych choć dodawał, że „większy jest popyt na takie bardziej ludzkie rzeczy”. W tym drugim świecie Józek H. – który był tak głupim SB-kiem, że nawet z SB go wyrzucili – został mistrzem pałaczy i codziennie dzielił się z „klasą robotniczą” swoimi biologiczno-filozoficzno-teologicznymi przemyśleniami, że np. Maryja nie mogła być dziewicą skoro urodziła Jezusa a zatem wniosek jest prosty – księża oszukują. W Kopalni by nie odważył się tego mówić bo pewnie dostałby po chrześcijańsku górniczą łapą w mordę, w Ciepłowni miał całkiem spore grono słuchaczy, którzy wprawdzie ni w ząb nie rozumieli o czym on mówił, ale słuchali bo to wszak szef i z innego świata!

Z tym lepszym światem rozstałem się na początku 1986 r., z tym gorszym na początku 1988 r. stając się z czasem owym „wykształciuchem” badaczem – skoro bowiem można było dostawać

premię za czytanie książek na Uniwersytecie to po co je czytać w Kopalni narażając się na kary i złowrogie spojrzenia kolegów? Ten lepszy świat współtworzony jest obecnie przez ludzi, z którymi kiedyś przyjaźniłem się, coś ryzykowałem, coś wspólnie zrobiliśmy i im dłużej o nich myślę, tym gorzej się czuję. A czuję się źle bo mam wrażenie, że nigdy nie odrobili lekcji Solidarności zastępując na intratnych posadach dawnych działaczy PZPR stosując dokładnie te same kryteria przynależności partyjno-związkowej i te same kryteria wykluczenia innych. Może zwyczajnie nie było czego odrabiać, gdyż na poważną dyskusję co „po komunizmie” nie było miejsca w czasach pierwszej legalnej i nielegalnej Solidarności a próby takich dywagacji potraktowane byłyby z pewnością jako przejaw zwyczajnego fantazjowania skoro wróg bitny i gotowy do walki, a plan minimum i maksimum to urwanie komunistycznej hydrze łba a później jakoś to będzie.

To zmusza mnie do refleksji filozoficzno-socjologicznej, że mit Solidarności interpretowany w kategoriach moralno-etycznych, tak chętnie swego czasu podnoszony przez rozmaitych intelektualistów Solidarnościowego chowu, to zwykłe nadużycie. Okres Solidarności i lat 1980. z pewnością zmienił wielu ludzi ale specjalnie nie zmienił polskiego społeczeństwa. Ani nie stało się ono bardziej solidarne, ani bardziej empatyczne. Umocniło się ono w swojej odświętności od jednej papieskiej pielgrzymki do drugiej, od jednego podniosłego wydarzenia do drugiego. Między wydarzeniami, tak jak między świętami czy sobotnimi zabawami w strażackiej remizie nic szczególnego w wielu miejscach tego kraju nie zdarzyło się. Zwrócił na to moją uwagę mistrz owej odświętności Jan Paweł II, który dostrzegał kruchość fundamentu moralnego, na którym budowana była nasza wspólnota po 1989 r. Dobrze pamiętam jego mocno poirytowany głos w czasie wystąpienia w 1999 r. w Ełku, które było poświęcone ubóstwu a mówił: „Starajmy się tak postępować i tak żyć, by nikomu w naszej Ojczyźnie nie brakło dachu nad głową i chleba na stole, by nikt nie czuł się samotny, pozostawiony bez opieki. Z tym apelem zwracam się do

wszystkich". Ełk jest mi bardzo dobrze znany a mieszkańcy tego biednego miasta opowiadali, że w czasie mszy w pierwszych rzędach siedzieli bogaci przedsiębiorcy, którzy za uprzywilejowane miejsce płacili duże pieniądze. Można by powiedzieć, że nie było w tym nic złego a Kościół wykorzystał okazję aby pozyskać środki na swoją działalność charytatywną. Ale można by też zapytać, parafrazując słynną wypowiedź Jana Pawła II z Francji („Francjo, najstarsza córo Kościoła, co zrobiłaś ze swoim chrztem?”) – Polsko, ojczyzno Solidarności, co zrobiłaś ze swoją solidarnością, że trzeba wykorzystywać autorytet Papieża aby zbierać pieniądze na działalność charytatywną?

Odświętnością nie rozwiązuje się problemów. Odświętnością problemy się maskuje. Wspólne odświętne spotkania, nawet w tłumie 10 milionowej nieboszczki Solidarności, na nic się zdają jeśli nie wiemy po co się spotykamy i jak zagospodarować codzienność. W takim tłumie uzgodnienie jednej społecznej preferencji (przy założeniu określonych warunków) jest niemożliwe, co udowodnił K. Arrow w słynnym teoremacie niemożliwości. Ale należy też dodać, że nigdy też nie podjęto dyskusji o społecznych preferencjach w znacznie mniejszych gronach a słynne hasło pluralizmu z lat 1980. szybko stało się wrogiem „nowego” z początku lat 1990. niczym trędowaty, którym można postraszyć niewiernych, ale wśród swoich zasługuje już na banicję lub niechybną śmierć. To codziennością, jakkolwiek nie zabrzmiałoby to banalnie, rozwiązuje się problemy a Solidarność będąc świętem, karnawałem, „refolucją” etc. nigdy nie była naszym codziennym doświadczeniem. Pojawiła się z nienacką i szybko zniknęła by przyjść znowu w nowej już roli niczym ubogi krewny wpraszający się na wigilijny wieczór.

Sięgając pamięcią w czasy mojej „robołskiej” przeszłości, przypominając sobie naiwne wypowiedzi moich starszych kolegów z opozycji o demokracji jako cudownym środku na wszelkie bolączki życia społeczno-gospodarczego, wsłuchując się w rozmaite głosy liderów Solidarności podszyte niebysową

ignorancją o mechanizmach demokracji i gospodarki myślę sobie, że nie mogło udać się nam lepiej niż się udało bądź nie udało. A w wielu obszarach życia społecznego nie udało się czego najlepszym dowodem jest skala ubóstwa (według statystyk GUS w 2014 r. 2,8 mln. osób żyło poniżej minimum egzystencji; 6,2 mln. osób było relatywnie ubogich tj. żyło w gospodarstwach domowych, w których wydatki nie przekraczały 50% średnich wydatków ogółu gospodarstw domowych) czy skala emigracji (według szacunków GUS w 2014 r. na czasowej emigracji przebywało około 2320 tys. Polaków).

Moje robotnicze doświadczenie jest stale obecne w moim życiu zawodowym. Przez pryzmat tego doświadczenia patrzę na liczby, które często są przedmiotem manipulacji bądź podstawą decyzji. To dzięki temu doświadczeniu z niedowierzaniem obserwowałem jak była partia rządząca budowała swój wyborczy przekaz na liczbach (choćby pochodzących z Diagnozy Społecznej), z których wynikało, że ubóstwo w Polsce maleje a ludzie są coraz bardziej zadowoleni – popełniając tym samym polityczne samobójstwo ku uciesze wielu owych zadowolonych Polaków. To dzięki temu doświadczeniu rozumiem sens wypowiedzi pewnej kobiety zamieszkałej w po-PGR-owskiej wsi, która retorycznie zapytała: co wy tam w Warszawie wiecie o prawdziwej biedzie? To wreszcie dzięki temu doświadczeniu lepiej rozumiem sens solidarności i rozgoryczenie ludzi, którzy kiedyś krzyczeli „nie ma wolności bez Solidarności” a dziś nie mają środków aby cieszyć się wolnością, ani odwagi by prosić o solidarność w potrzebie.

Autorstwo: Dariusz Zalewski

Źródło: FundacjaWiP.wordpress.com